

Tomasz STRZEMBOSZ

## DWA OBLICZA CENZURY

*„Non possumus” oznacza odrzucenie nacisku doprowadzającego do odstąpienia od głoszenia prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. [...] do roku 1990 kwestia ta łączyła się z istnieniem państwowej cenzury, po roku 1990 zaś dotyczy nacisku ze strony mediów i grup wpływu, przymusu powodującego sytuację, w której konieczne jest stosowanie pewnej poprawności politycznej, również w zakresie historii.*

Słyszeliśmy dotąd wypowiedzi zasadnicze, a zarazem ogólne, ja natomiast chcę mówić o problemach, które poznaliśmy raczej praktycznie, o sprawach, które są mi znane z osobistego, niejednokrotnie wieloletniego, doświadczenia. W najmniejszym stopniu nie jestem politykiem, jestem historykiem, a więc badaczem, w związku z tym z mojego punktu widzenia „non possumus” oznacza odrzucenie nacisku doprowadzającego do odstąpienia od głoszenia prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. W tym wypadku prawdy historycznej. A zatem do roku 1990 kwestia ta łączyła się z istnieniem państwowej cenzury, po roku 1990 zaś dotyczy nacisku ze strony mediów i grup wpływu, przymusu powodującego sytuację, w której konieczne jest stosowanie pewnej poprawności politycznej, również w zakresie historii.

Doświadczenia związane z cenzurą, zarówno moje, jak i moich kolegów, wskazują, że ma ona bezpośredni i pośredni wpływ na ludzi, z tym że jej wpływ pośredni jest prawdopodobnie bardziej niebezpieczny. Wpływ bezpośredni cenzury polegał na tym, że niszczyła ona charakter ludzi, zwłaszcza w przypadku młodych badaczy, domagając się od nich kompromisu. Już na wstępie ich działalności naukowej nakazywała im „coś za coś”, z tym, że tym drugim „coś” była po prostu prawda. Po drugie, cenzura niszczyła ludzi starszych, którym – na przykład profesorowi Henrykowi Wereszyckiemu – zakazywała druku. W ten sposób wychodzili oni niejako z obiegu, chociaż mogli jeszcze twórczo pracować. Paradoksalnie jednak ich los był nieco lepszy niż los młodych badaczy, bo starsi swoje ostrogi zdobyli wcześniej. Wiedziano, kim jest Henryk Wereszycki, a mogło się okazać, że nikt nigdy nie będzie wiedział, jakim historykiem jest jakiś Jan Kowalski. Ponadto cenzura stanowiła „szansę” dla ludzi ambitnych, gotowych publikować za każdą cenę i ludzie ci zdobywali szlify. Do dziś znakomicie funkcjonują w naszym życiu naukowym osoby, które stanowią rzekomą elitę nauki historycznej ze względu na to, że kiedyś były bardzo ugodowymi kontrahentami państwowej cenzury i innych środowisk wymuszających cenzurę.

Cenzura zatem wywierała na badaczy wpływ bezpośredni, ale także wpływ pośredni – poprzez wybór tematu. Czy można było doktorantowi lub habilitantowi zaproponować podjęcie tematu, z powodu którego praca nigdzie nie zostanie opublikowana? Czy można było bez głębokiego porozumienia z nim i wielkiego ryzyka, powiedzieć: „napiszesz, obrona będzie tajna”?! W historii najnowszej znam wiele przypadków, kiedy przygotowane książki nigdy nie zostały wydane.

Sytuacja ta miała dalsze konsekwencje. Z obiegu naukowego, gorzej – ze świadomości społecznej i historycznej – wypadały dziesiątki problemów i obszarów badań, a także książki wydane na przykład na Zachodzie. Książki te nie były w obiegu, ponieważ nie pozwalała na to cenzura, a zatem nie wzbogacały naszego myślenia bądź – i to jest znowu aspekt szczególny – wzbogacały tych wybranych, którzy mogli wyjechać za granicę w ramach pewnych układów, tam je przeczytać, czasem również przywieźć. Zdarzało się często że traktowali to, co w nich przeczytali, jako swój dorobek osobisty. Znam takie referaty, które oparte były na książce wydanej w Stanach Zjednoczonych czy w Kanadzie, na książce, której nikt poza autorem referatu nie przeczytał. A zatem cenzura była bardzo groźna dla prawidłowego kształtowania się świadomości historycznej Polaków. Uratował nas – mówię to z pełnym przekonaniem – rok 1990. Dzięki temu przełomowi można było ocalić wiele obszarów badań historycznych, na przykład dziedzinę, którą się zajmuję – problematykę ziem wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1939-1941, której opracowanie nie miało wcześniej żadnych szans rozwoju.

Istnieje jeszcze jeden aspekt problemu. Cenzura była reprezentantem władzy, pełniła funkcję szalenie zmiennego kontrahenta, nie zawsze jednak najgroźniejszego. O wiele groźniejsze były niektóre redakcje i redaktorzy, kierownicy instytutów badawczych, pewni koledzy-naukowcy blisko związani z partią, którzy stronniczo recenzowali prace czy też sugerowali władzom, co powinno, a co nie powinno zostać opublikowane. Muszę powiedzieć ze smutkiem, że ci, którzy przeciwstawiali się cenzurze, mieli pewien autorytet, mimo to frontu koleżeńkiego wśród badaczy nie było aż do powstania „Solidarności” w roku 1980. Każdy walczył sam. Często przy pomocy starszych, wybitnych kolegów; tu muszę wymienić dwóch: profesora Aleksandra Gieysztora, którego rozmowa z sekretarzem Wydziału Nauki KC PZPR profesorem Jaremą Maciszewskim uratowała moją książkę *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy* i profesora Stefana Kieniewicza, którego rozmowa z profesorem Andrzejem Werblanem spowodowała, że on także poparł wydanie mojej książki. Dopiero gdy ci dwaj luminarze nauki, a zarazem działacze najwyższego szczebla PZPR – profesorowie Werblan i Maciszewski – porozumieli się, książka mogła się ukazać – po siedmiu latach oczekiwania na wynik cenzury. W roku 1983 *Oddziały szturmowe...* miały drugie wydanie w nakładzie sześćdziesięciu tysięcy egzemplarzy (rzecz dzisiaj nie do pomyślenia). Zabawne jest to, że książka, która

przetrzymana była przez cenzurę od roku 1973 do roku 1979, uzyskała nagrodę pisma „Polityka”. Bywało zatem różnie, lecz chociaż środowiska nie były ani jednolite, ani całkowicie solidarne, to cenzura przychodziła jednak wówczas z zewnątrz. Była to cenzura państwowa, czynnik nam obcy. Najgorsza była „cenzura wewnętrzna”.

Z drugą sprawą, o której chcę krótko powiedzieć, zetknąłem się przy okazji problemu, który określany jest mianem „Jedwabne”. Sprawa ta dotyczy cenzury tworzonej przez media i środowiska opiniotwórcze o określonym nastawieniu oraz jej konsekwencji w formie nacisku psychicznego, który jest w ten sposób wywierany. Aby ukazać, jak silna była presja i jaka była istota tego zjawiska, wystarczą dwa fakty, które są mi znane. W styczniu i lutym roku 2001 koledzy z Instytutu Pamięci Narodowej zarejestrowali ponad dwieście tekstów na temat wydarzeń w Jedwabnem. W marcu sama „Gazeta Wyborcza” opublikowała ponad siedemdziesiąt tekstów, to znaczy artykułów, wzmianek, listów do redakcji i podobnych wypowiedzi. Była to szeroka operacja, która spowodowała, że w pewnym momencie „sprawa Jedwabnego” przekształciła się w „sprawę Tomasza Strzembosza”. Zostałem zaatakowany przez trzech publicystów „Gazety Wyborczej” jako człowiek o „niewłaściwych poglądach”, „kustosz Polski niewinnej”, mało zorientowany w polskich dziejach reprezentant świadomości już odrzuconej, zdeaktualizowanej. Zrozumiałem wówczas, że państwowa cenzura jest w jakimś sensie łagodniejsza, gdyż pochodzi ona z innych środowisk, jak gdyby z góry, na przykład z Komitetu Centralnego. Muszę powiedzieć, że również tutaj środowisko historyków było podzielone. I chociaż „sprawa Jedwabnego” trwała dla mnie nie lat czterdzieści, a sześć miesięcy, również była ważna z punktu widzenia „tak” albo „nie”. Czy będzie „coś za coś”, czy nie będzie.

Wydaje mi się, że w obu sprawach, o których mówiłem, udało mi się nie pójść na kompromis. I w obu przypadkach doznałem nacisku. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że czwarta władza, media, bardziej jest dzisiaj władzą, niż była kiedyś, a bywa to, niestety, dość dotkliwie.